

Bratnie dusze

Próbowaliśmy niezwykłego czeskiego piwa w „Johance” i już wtedy przeczuwałem, że nie będzie łatwo. Jak w krótkim tekście opisać wielokulturowy Żelów, kiedy powstało o nim mnóstwo książek? A autorami często przecież byli ludzie stąd – mieli dużo większe szanse, by poznać i zrozumieć.

Czerwona lampka zapaliła się za sprawą Joanny Matejki. Sympatyczna właścicielka sklepu-pijalni tłumaczyła: – Był tu u nas w Żelowie Brian Scott z TVN. Cały dzień ekipa siedziała. Rozmawiali z dziećmi, ze staruszkami i wyszło, że tu społeczności czeskiej już właściwie nie ma. A to nieprawda.

Cóż zatem robić? Zamieszkać, zaprzyjaźnić się i starać zrozumieć? Nierealne. Spróbuję pokazać ośmiotysięczny Żelów, jakim go zobaczyłem w słoneczny, wiosenny dzień. Rzeczywiście ta wielokulturowość – często przywoływana, by stało się zadość poprawności politycznej – nie manifestuje się w jakiś szczególny sposób. Pytani pracownicy miejscowego domu kultury nie bardzo wiedzą, co odpowiedzieć. No bo jak miałoby to wyglądać? Sedno tkwi chyba w harmonijnym współżyciu, akceptacji i poszanowaniu odrębności, które prowadzi, paradoksalnie, do zacierania się różnic – przejmowania zwyczajów: od kulinarnych, po te związane z życiem duchowym. Jak mogłoby być inaczej, kiedy dzieci chodzą razem do szkoły, młodzi zawierają mieszane małżeństwa, a potem jako rodzice i nauczyciele grają w jednym teatrze amatorskim?

Na początku Żelów był czeski. No, może nie na samym początku. Majątek należący do Józefa Świdzińskiego w 1802 roku kupili osadnicy należący do wspólnoty braci czeskich. Uciekali z Dolnego Śląska przed prześladowaniami. Akt kupna ziemi podpisywało czterech Janów – Pospiszył, Matejka, Polaczyk, Jersak. Czesi w Żelowie utworzyli zbór, zbudowali kościół i założyli cmentarz. Rozwinęli tkactwo, przynieśli własne zwyczaje i tradycje budowlane (ponadstuletni dom czeskich tkaczy można jeszcze dziś zobaczyć przy jednej z głównych ulic miasta). Mieszkało tu wtedy 700 osób. Parafia należała do Kościoła ewangelicko-reformowanego. Pod koniec XIX i na początku XX wieku osiedlali się w Żelowie także Polacy, Niemcy i Żydzi. Żyli tu więc po sąsiedzku kalwini, luteranie, baptyści, katolicy i wyznawcy religii mojżeszowej. W okresie międzywojennym powstały zakłady przemysłu włókienniczego, działał browar parowy produkujący piwo plzeń. W 1914 roku osada liczyła 4 tys. osób, a czeski jeszcze przez trzydzieści lat był językiem powszechnie używanym. Po I wojnie światowej, kiedy powstała Czechosłowacja, rozpoczęła się emigracja zakończona exodusem w 1945 roku – parafię opuściło wtedy blisko 90 procent jej członków. – Okupacja niemiecka była okresem prześladowań i konfliktów narodowościowych – opowiada żelowianin Andrzej Dębkowski, poeta, publicysta i wydawca, autor wielu książek o historii regionu. – Niemal całkowicie wymordowana została społeczność żydowska Żelowa, licząca przed wojną około trzech tysięcy osób. Po wyzwoleniu do wyjazdu zmuszono ludność niemiecką. W Żelowie i pobliskich koloniach pozostało około 500 rodzin czeskich.

Jedziemy na cmentarz ewangelicko-reformowany. Powtarzające się nazwiska: Jersak, Pospiszył, Smetana. Napisy w języku czeskim zatarte, trudne do odczytania. Dzieje Żelowa z nagrobków odczytuje nam Karol Pospiszył – prezes Kolegium Kościelnego przy parafii. Grobowiec Gąsiorowskich, najbardziej zasłużonego rodu czeskiego, grób pastora Jana Mozesa, który miał największy wpływ na rozwój Żelowa w XIX wieku, mogiły żołnierzy rosyjskich i niemieckich sprzed I wojny światowej. – A tu pod krzakiem jałowca pochowany jest Mykoła Liwycki, ojciec pierwszego prezydenta Ukrainy – mówi Karol Pospiszył. Pokazuje nagrobki znanych osób. Prof. Józef Jersak, geograf, który zakładał stację Arctowskiego na Antarktydzie, kuzynka Kornela Makuszyńskiego, Waldemar Krygier, scenograf teatru Henryka Tomaszewskiego we Wrocławiu, Klemens Nowicki, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, ojciec polskiej chirurgii.

Na cmentarzu sporo wolnej przestrzeni, porośnięte przystrzyżoną trawą puste miejsca wokół starych grobów. – Tak się dzieje, kiedy rodzina wyjechała, wymarła i nikt przez lata nie zajmuje się miejscem pochówku. To są tak zwane groby do likwidacji – tłumaczy Pospiszył. Uświadamiam sobie, że to znak przerwania ciągłości, trwającego dekadę zaniku społeczności czeskiej w Zelowie. Po cmentarzu żydowskim nie ma nawet śladu. Zostały wyrobiska piasku, który poszedł na budowę miejscowych domów.

W drodze powrotnej podziwiamy nowy budynek biblioteki Zespołu Szkół Ogólnokształcących i imponującego obserwatorium astronomicznego. Potem zwiedzamy kościół ewangelicko-reformowany i usytuowane na strychu muzeum parafialne. Na nabożeństwa zwykle przychodzi około setki wiernych. Na strychu przed wejściem do muzeum i wzdłuż schodów wiszą kartusze trumienne – niektóre XIX-wieczne. Kościelne poddasze mieści też parafialne archiwum – kompletne od 1802 roku. Dlatego mnóstwo osób korzysta z tych zbiorów – przede wszystkim historycy, studenci piszący prace magisterskie, autorzy książek. O Zelowie napisano więcej niż o wielu innych większych miastach.

– Ludzie przyjeżdżają tu często w poszukiwaniu korzeni – ostatnio to prawdziwa epidemia – mówi Pospiszył. Niewielkie muzeum, w którego skład wchodzi sala główna i zrekonstruowana salka lekcyjna z czasów Jana Amosa Komeńskiego, XVII-wiecznego czeskiego pedagoga i myśliciela protestanckiego, nie jest tylko miejscem wystaw. Na strychu organizowane są spotkania kulturalne, tu odbyła się premiera spektaklu o historii Zelowa. Muzeum jest siedzibą corocznego festiwalu teatrzyków dziecięcych. Odwiedzili je Vaclav Havel, kiedy jeszcze był prezydentem i Karl Dedecius, którego rodzice pochodzili spod zelowskich Pożdżenic.

Przy parafii ewangelicko-reformowanej działają Zelowskie Dzwonki – jedyny w Polsce zespół grający na dzwonkach ręcznych. Istnieją od 15 lat. Jego członkowie to dzieci i młodzież nie tylko z parafii. Koncert w ich wykonaniu to coś niepowtarzalnego – pieśni religijne i utwory muzyki klasycznej (Bach, Bizet, Mendelssohn-Bartholdy, Wagner) zaaranżowane na dzwonki ręczne i dzwony rurowe w kilku oktavach, czyli na ponad 70 instrumentów, brzmia niesamowicie. – Gdy dzieci dostaną się do zespołu, rodzice są szczęśliwi, bo to wielka przygoda, koncerty w Polsce i poza jej granicami – mówi Andrzej Dębkowski.

W ogóle ludzie w Zelowie wydają się szczególnie utalentowani – piszą książki, zajmują się twórczością plastyczną, grają w teatrze, wydają „Gazetę Kulturalną”. Strona domu kultury przedstawia 25 twórców – amatorów, ale i absolwentów uczelni artystycznych.

Kiedy wychodzimy z kościoła, wokół domu zborowego zaczyna się ruch – to rodzice odbierają dzieci z przedszkola edukacyjnego prowadzonego przez parafię (nie tylko dla ewangelików), która organizuje też kursy językowe czy półkolonie w czasie ferii i wakacji. Mam wrażenie, że w czeskim Zelowie dobrze się dzieje, a zaraz potem przychodzi myśl, że to Zelów wspólny.

tekst i foto: *Bogdan Sobieszek*